CENTRALNE BIURO WYDAWNICTW N. K. N.
KRAKÓW—UL. ~~WOLSKA L.~~ RETORYKA 5.

Do P. T. Drukarni Narodowej
w Krakowie.

Prosimy o zrobienie kosztorysu poezyi Daniłowskiego. Papier i format, jak Szantroch.

Z poważaniem

[illegible]

Tytuł zbiórki „Jesienią"
porządek arkuszy według zaznaczonych
liczb rzymskich.

G. Daniłowski

I a

CBW

Przez pracownię Jleczy

Ballada

Przy cmentarzu nad Wisłą jak warta
Stróżująca zapadłym mogiłom
Piorunami topola rozdarta
Przeciwstawia niszczącym burz siłom
Moc trwania.

A gdy ciemna godzina uderzy
Za cmentarny przegina się parów
Nad grobami uśpionych żołnierzy wycetry
I zadaje szelestem konarów
Pytania

Wówczas każdy grób wzdryga się darnią
I z łoskotem w głąb ziemi zawala
Bo je pyta swą całą męczarnią
I tym gromem, co wciąż się zapala
W pniu czarnym.

Lecz odpowiedź nie żatli się w próchnie
Mogił wzrosłych w dżdżu krwawym, w łez rosie,
Póty, póki płomieniem nie buchnie
Święty ogień, co zagasł na stosie ofiarnym
Ofiarnym

Lecz dziś płomień ten dusz już nie wichrzy
Termopilski się przeżył bohater
Wulkaniczny zaklęsnął się krater,
Jęk pobitych wciąż cichszy i cichszy
Bezsilny.

Aż raz w wieczór jesienny i rzewny,
Kiedy zmierzchy liljowe się słały
W mgłach, jak gdyby w welonach królewny
Mar girlandy na obszar zleciały
Mogilny

Pod topolą się starą rozsiadła
Na cmentarzu upiorów gromada,
A zmęczone to były widziadła
I każdego twarz była tak blada
Jak chusta

Snać z dalekiej przybyły krainy,
Z państwa zimy, bo śnieg i szron srebrza
Włos przyprószył, a mrozu znak siny
Kładł swój stygmat na piersi ich, żebra
I usta

Jedne oczy błyszczały jak świece
U tych duchów, a serca jak struna
Niecierpliwa tętniały - źrenice
Obracały wzdłuż Wisły, gdzie Łuna
Drży krwawa

- Co tam dzisiaj? - Szmer krążył śród duchów
Skąd ta radość? To chyba Moskala
Wypędzono i wolna z łańcuchów
W dzień tryumfu ogniska rozpala
Warszawa?!!

Czemu tylko nie wraca wysłaniec
Ktoś wyszeptał ściskając swe pięście
Tak jak wówczas gdy zbroczył krwią szaniec,
A duch drugi: - przeczuwam nieszczęście -
Rzekł smutno

Na ten wyraz wzdrygnęły się cienie.
Nagle wrota rozwalił ktoś całe
I wpadł poseł, miał w oczach płomienie
Brak tchu w piersiach, a lica tak białe
Jak płótno

— Bracia! — wołał podnosząc twarz wściekłą,
Pełną gniewu i dzikiej boleści —
— Otóż jestem z nowiną jak piekło!
Noc! — W niej więcej niż w piekle się mieści
Goryczy!

— Tam w Warszawie igrzysko się stwarza
Na cześć cara — więc płoną ogniska.
Światła w oknach, by witać cesarza.
Tłum rodaków w ulicach się ściska —
Żyj krzyczy!

Na tym bruku co niegdyś jak mary
Trupem naszym był cały pokryty,
Powiewają dziś pyszne sztandary
W zieleń drzewów przybrane i w kity
Traw z pola

Deputacye mu niosą dar złota,
Życia jego już sami dziś strzegą
I dziękują, że przybył despota
I mu mówią, że błoga jest jego
Niewola

x) Pod wrażeniem urządzonych manifestacyi
podczas pobytu Nikołaja II-go w 1897 r.

Tam nic po nas! Wracajmy do lodu
W Sybir w stare zaklęsłe mogiły,
Tam złorzeczą tym synom narodu
Którzy w boju targają swe siły
Z przemocą

Moglibyśmy coś popsuć w tem stadle
Polski z carem – pomieszać zabawy,
Gdyby raptem tak w sennem zwierciadle
Nasz mu upiór ukazał się krwawy
Dziś nocą

Mógłby cesarz być nierad ze święta,
Panom groźnie na zamku powiedzieć,
Że on bunty, powstania pamięta....
Ducha widział którego wyśledzić
Powinni

I wypadłoby panom wykrztusić,
Że za winy te znieśli dość cierni
A tę zmorę gotowi są zdusić,
Bo dziś mu już poddani, tak wierni
Jak inni.

Dowód: bramy obite w szkarłaty,
Z dzieci polskich spleciony sznur kręty
W białych sukniach, by sypał mu kwiaty
I przyjmował go godniej, niż święty
Sakrament.

Z wszystkimi naszemi portrety
Które zdobią krużganki i nawy...
Dziś u stopni cesarskiej karety
Drą i depczą nasz krwawy
Testament! –

Drą i depczą nasz krwawy testament...
Tłum upiorów powtórzył znękany,
I płacz buchnął i jęki i lament,
I otwarły się wszystkie im rany
I blizny

I z rodzinnej swej ziemi jak stado
Okrwawionych łabędzi, tłum cały
Wraz się porwał i wielką gromadą
Duchy łkając na północ leciały
Z ojczyzny

A stanęły się wszystkie jak we śnie,
Wlocząc skrzydła skrwawione po ziemi,
I wzdychały, szlochając boleśnie,
Łzawa smuga ciągnęła za niemi
W niebiosach

I wysokim zamglonym tym szlakiem
Obłąkane cierpieniem, jak w szale
Znikającym się rwały orszakiem,
Rozsypały się krwi ich korale
Po rosach

Pusty cmentarz pozostał i głuchy
Jeden wicher w nim ciszę zamąca,
Co topoli rozdartej pień suchy
Swym szalonym podmuchem potrąca
I zgina

I z wściekłością gałęzie obrywa
I unosi daleko- na pole,
A topola tak jęczy, jak żywa
I okrutną wiekową swą dolę
Przeklina

Pod nią Wisła spieniona i mętna
W mgły oparach się wije, jak w dymie,
Słychać westchnień potężnych jej tętna
I kłębiące się w piersiach olbrzymie
Jej wiry

A nad wszystkiem zawisła żałośnie
Noc i niby samotna dziewczyna
Co tka szychem całuny na krośnie
W czarne niebo złotogłów gwiazd wpina
Jak w kiry.

II

Warszawa

Miasto moje kochane, stolico tysięczna
O stopach całowanych rozpłakaną rzeką
Widmo twego obrazu noszę pod powieką
Tem bolejącą dzisiaj żeś dla mnie zamknięta.

W tobie moje dzieciństwo marzeń niemowlęta
Od których już odbiegłem tak bardzo daleko.
Wesele i łzy jasne, łzy co już nie cieką,
Chociaż serce subtelny ich czar wciąż pamięta

Długiemi ulicami rozbitą na krzyże,
Widzę ciebie w welonach dymów jak w żałobie,
Grzmisz turkotem głos własny tracisz w ciżby wirze.
Lecz kiedy w noc głęboką, gdy głucho jak w grobie,
Blask płonących latarni twe bruki poliże
Bruk lśni tak, jakby każdy kamień miał łzę w sobie

Mogiła

Często błądzę samotny za miastem gdzie leży
Cmentarz umarłych zdarzeń, tam dusza wspomina
Wolę, Grochów, Olszynkę i pola Raszyna
Gdzie mężny książe w ogień wiódł sam swych żołnierzy.

Wszedłem w las i włos nagle dziko mi się jeży:
Pod stopą się rozwarła ziemi rozpadlina,
Wewnątrz kości, a każda woła mnie, jak syna
Mogiła ojców - Klęski ostatniy slad swieży

I patrzyłem na przeszłość, co leżała zmarła -
Na kolanach schylony nad wklęsłą mogiłą
Nie mogłem płakać. W spazmie łzy zbiegły do gardła
W grobie gorzało - próchno czy też serce siłą
Niespożytą, co wtedy smierci się wydarła?
Nie wiem - lecz moje ogniem tym się zapaliło.

III

Wisła

Wzrałaś niegdyś potężnie, jak pieniste wino
Przez brzegi przelewałaś się falą namiętną
A dziś stałaś się, jakby cichą płaczką smętną
Szlochającą nad wielką rozbitków rodziną

Jak gdyby coraz wolniej wody twoje płyną
Jak gdyby coraz słabiej bije fal twych tętno
Kryształowa u źródeł składasz głowę mętną
Przez port wydarty tobie w gorycz morza siną

Lecz kiedyś, gdym na brzegu twym w smutków pogoni,
Leżał, a noc gasiła gwiazdy ciemnym kirem,
Drgnąłem słysząc jak w ~~wodach twych~~ głębi i dna twych coś szczęka dzwoni.
Czym zgadł twą tajemnicę rzeko że swym wirem
Nocami utopiony miecz wyciągasz z toni,
Że rdzy i krwi obmywasz i ostrzysz go wirem.

W Łazienkach.

W parku jesień. Listopad purpurą się ~~świeci~~ mieci
Korony drzew w szkarłatne ustrojone wieńce
Sypią zgorzałe liście - wziąłem garstkę w ręce
I czułem jak za z liśćmi myśl ma w przeszłość leci

Wszedłem na most w arkadach. Pomnik biały świeci
Na widok ten na twarzy wybiły rumieńce
Wojennych dum. Koń wspięty - pod nim leżą jeńce
A na koniu w szyszaku wspaniały Jan Trzeci

Stanąłem, a w mej duszy myśli - dziwne porządki
Śniły sen, żem mam władzę obudzić tę sławę
Że wleję krew i życie w kamień tej pamiątki.
Wskoczę na koń z tententem ruszę na Warszawę
Lecz nie drgnął. Wzrok spuściłem i ujrzałem szczątki
Listopadowych wspomnień w dłoniach - liście krwawe

IV

Gwiazda

Załkał hejnał na wieży melodyą ~~drży~~ swą senną
Potym jeden za drugim zegar się odrywa
Mrą kolejno sekundy, a każda nieżywa
Na wieki w otchłań czasu zapada bezdenną

Opieram skroń bijącą o ramę okienną
Patrząc jak schłonąć gwiazdy sili się noc chciwa
Lecz każda która pała z więzów się wyrywa
Prócz tej co niegdyś była najbardziej promienną
A dzisiaj tak przygasła jej swietna korona
I tak niesmiało pełga w smutnym nocy cieniu
Jakgdyby zapomniała ze była czerwona
W mgle też, jakoby w perłach na złotym pierścieniu
Przy innych tak wygląda, jak gwiazda co kona
Oddając państwo nocy promień po promieniu

A jednak.

A jednak póki serce moje nie popęka
Nie wyrzeknę się nigdy nadziei ni wiary
Będę zbierał podarte na strzępy sztandary
I niósł póki bezwładna nie opadnie ręka

Dusza moja niczego już się dziś nie lęka,
Ni przekleństw ni potwarzy ani śmierci mary
Bo kto ginie za całych pokoleń zamiary
Przy tego grobie przyszłe pokolenie klęka

I może kiedyś gdy bój znów zawarczy
Rżą konie i migną błyskawice stali
Wyniosłością mogiły jak zasłoną tarczy
Od wrogiej kuli własny mój syn się ocali
A tych szańców cmentarnych dla wszystkich wystarczy
Bośmy mnóstwo ich w ziemi naszej usypali!

Co lepiej

Co lepiej? Czyli wśród lekarstw zaduchu
Umierać zwolna na pościeli z puchu.
Czy też na polu bitwy paść i w glorji
Wejść w bohaterskie stronice historji
Co lepiej?

V

W ostatnią rocznicę.

Jest czynów ludzkich tak podniosła sfera
Gdzie można zginąć, lecz się nie umiera
Taką rocznicą szczerzej i goręcej
Masz znów sposobność odetchnąć narodzie!
Podnieść się z nędzy - z niewoli barłogu,
By iść pochodem do trumny książęcej,
Wodza, co, brocząc krwią w Elstery wodzie,
Honor twój oddał w ręce Panu Bogu,
Z myślą, że kiedy będzie ci potrzeba
Po ten depozyt sięgniesz aż do nieba
I tyś po'n sięgnął we dni Listopada
Pod Belwederem i na Woli szańcu
O czci tej twojej Noc styczniowa gada
Szepcą mogiły szumią drzewa bora…
Lecz dziś na smyczy w obroży w kagańcu
Jak się ośmielisz odarty z honoru,
Bez buntu w piersiach, bez broni bez siły
Do wojownika zbliżyć się mogiły
Czyż po to leży wśród nas, by dać prawo
Na krótki moment przy nim się zapalić
Ciżbą w królewskie wejść lochy i wrzawą
Pustych słów, jego śmierć walczną chwalić

Majestat jego zamącić spokojny
Nam, których straszy nawet widmo wojny
I czyż nie zadrży proch jego przed dłonią,
Co dziś łańcuchem szczęka, a nie bronią
Nie drżyj rycerzu waleczny i twardy,
Coś krwią kupował bohaterstwo chwały
Piersią swą chronił pochód arjergardy,
Miał życie mężne i miał zgon wspaniały
Czas twój nadchodzi na wygasłym zniczu
Nucą się świetne płomienie wyzwoleń
W Polski zmarszczonem steranem obliczu
Coraz goręcsze pałą się rumieńce.

Zmartwychpowstajesz
W pamięci pokoleń
Co cześć i honor twej
ojczyźnie wrócą

Zmartwychpowstajesz w pamięci pokoleń
Co cześć i honor twej ojczyźnie wrócą
I na sarkofag twój nie kwiatów wieńce
Lecz miecz dymiący krwią zwycięstwa rzucą

~~IV~~ VI

Listopad

Drzemie stolica czujnie, jak niewiasta
Do której łoża wstrętny gwałt się wkrada.
Cicho i tylko gdzie drzewo wyrasta
Suchy liść z chrzęstem waży się i spada
Listopad błądzi po ulicach miasta.

W ciemnych zaułkach związanych snu pętem
Czasem ktoś przemknie i wsiąknie we wrota,
Dworski się pojazd przetoczy z tętentem
W Alejach sucha gałąź zadygota
I na bruk sypnie plamy krwi i złota

W Łazienkach wicher w złocistej zamieci
Z starych drzew szata usuwa się lita
Na most w arkadach gdzie biały Jan Trzeci,
Zgarnawszy jeńców pod konia kopyta
Jak pomnik chwały skamieniały świeci

A bachmat jego tak się dumnie wspina
Jakby miał znowu runąć do ataku.
U stóp pomnika zbiera się drużyna
Rozdziela wciąż czeka z nieba znaku
U nóg jej ich złoto, – nad głową – noc sina

Krąży Listopad wkoło, chciwy żeru
Szuka i szarpie gdzie znajdzie liść krwawy
W wichrze je niesie na próg Belwederu,
Wiodąc za sobą groźny cień Warszawy
Orszak widm zemsty ciągnących bez szmeru.

Gorąco pożar nad Wisłą się pali.
Śmierć tyranowi! buchnęły okrzyki
Padł szyldwach, ranny jenerał się wali,
Drży wielki książę w alkowie podwiki.
Listopad hula w pałacowej sali.

I jego potem to powiew czerwony,
Kiedy sejmowe zebrały się stany,
Zerwał carowi blask polskiej korony,
On wiódł na boje, na śmiertelne rany
I zmilkł na długo - rapsod niezkończony.

I oto znowu się Listopad dziś płoni:
Palą się łuny na jesiennych chmurach
I dudni ziemia szarżą polskich koni
Szeregi w orłach i siwych mundurach
Podnoszą z grobu chwałę przodków broni

Maj	21.	Bitwa	III. i V. baonu	pod	Kozinkiem.
	21.	„	2 pułku	pod	Konarami.
	21.	„	VI. baonu	pod	Wszachowem.
	22.	„	III.	„ „	Kozinkiem.
	22.	„	2 pułku	„	Konarami—Kamieńcem.
	22.	„	VI. baonu	„	Wszachowem—Janczycami.
	23.	„	VI.	„ „	Żernikami.
	23.	„	2 pułku i I. baonu 1 pułku	pod	Przapiórowem i Kamieńcem.
	24.	„	2 „ I. „ 1 „	„	„ „
	24.	„	VI. baonu	pod	Żernikami.
Od dnia	25.	Walka pozycyjna	VI. baonu	pod	Żernikami.
„ „	25.	„ „	Brygady	pod	Konarami—Kujawami.

Wiejska 5. m 10
p. J. Danikowski

Pierwsze bitwy.

Kielce, pałac gubernatora, kwatera główna, 23 sierpnia.

Siódmy, siódma godzina, siedem minut wieczór: zanotowałem w dzienniku z pewnem podniosłem wruszeniem chwilę, kiedy nie tajemnie, ale otwarcie, z bronią w ręku, przekroczyliśmy w Michałowicach granice Królestwa. W Słomnikach zastaliśmy już naszą załogę, w Miechowie oddział, który szedł na Racławice i Ojców, nasze władze narodowe, mieszczące się w domu, w którym zamieszkiwał jeszcze przed kilku dniami naczelnik powiatu, w Jędrzejowie toż samo. Stan mieszkań, stan wszelkich instytucyi rządowych świadczył wyraźnie, że były one opuszczone w panicznym popłochu. Popłoch ten ogarnął nietylko urzędników, lecz i wojska. W szybkim pochodzie swoim naprzód nie mogliśmy poprostu żadnego oddziału dogonić. „Wczoraj jeszcze byli, a dziś już ich niema“, otrzymywaliśmy stałą od mieszkańców odpowiedź. Wreszcie dopiero dnia 12 b. m. o godz. 3 popoł. oddział nasz, składający się z trzech kompanij, ogółem 350 ludzi, przy odgłosie pierwszych strzałów, spowodowanych utarczką naszej kawaleryi, liczącej 12 koni, na północ od Kielc, przez krakowską rogatkę, ulicą Dużą, a potem Kolejową, wkroczył do Kielc. Przeciągnął przez pełne milczącej i zdumionej publiczności ulice i zajął dworzec.

W pałacu gubernatorskim rozpoczął urzędowanie nasz komisarz wojskowy i pierwszą jego czynnością było wydelegowanie dwóch żołnierzy do więzienia dla uwolnienia „politycznych“. Uwolniono czterech, kryminalnym pozdejmowano kajdany, kobietom zapewniono codzienny spacer, dozorcom polecono ludzkie obchodzenie się z więźniami, skonfiskowano 7 rosyjskich karabinów i dwie paczki ładunków.

Po wkroczeniu do Kielc, główny komendant wraz komisarzem wojskowym i szefem sztabu złożył wizytę biskupowi ks. Łosińskiemu, poczem w sprawach natury politycznej odjechał do Krakowa. Władzę objął szef sztabu, który około godziny 4-ej kolejno otrzymał dwa raporty, że na wschodzie miasta ukazały się gęste oddziały kozaków. Siły nasze były zbyt szczupłe, byśmy mogli dostatecznie obsadzić wszystkie wyloty, wiodące do Kielc. To też w kilka minut potem

wraz z odpowiednim meldunkiem, trzask karabinów na ulicach zasygnalizował obecność wroga w mieście. Strzały wzmagały się, wreszcie posypały się jak garście grochu. To automobil z karabinem maszynowym w szalonym pędzie, zalewając kulami ulice, uderzył na dworzec, ale przywitany salwą dyżurnego plutonu zawrócił. Gdy mijał hotel Bristol, nasz oddział konny, który powróciwszy z utarczki, zajął tam kwatery, celnymi strzałami położył trupem dwóch jadących oficerów, a dwóch ciężko ranił. Szofer ostatkiem sił zdołał uprowadzić automobil za miasto, tam padł do rowu, pojazd się roztrzaskał, a ładunki karabinu stały się naszym łupem. Na ulicach miasta trwał jeszcze z godzinę zażarty bój, utarczki naszych posterunków strzeleckich i patroli konnych. Wreszcie wszystko ucichło. Kozacy, straciwszy kilkunastu rannych i zabitych, cofnęli się z miasta. W czasie tej bitwy dowódca oddziału konnego, Belina, ranił śmiertelnie pałaszem kozackiego oficera. Przekonawszy się, że mamy przed sobą większe siły, prawie, jak się później okazało, dziesięciokrotnie przewyższające nasze, brygadę jazdy Nowikowa, brygadę straży granicznej i baterye armat, szef sztabu postanowił wybrać dogodniejszą pozycyę, niż ciasne ubikacye dworca, otoczonego domami, które zwężały pole obstrzału i nie pozwalały rozwinąć się oddziałom.

Na biwak został wybrany położony na wzgórku za plantem kolejowym, o tysiąc kroków od dworca, folwarczek Czarnówek. Pod strzałami przeprowadzono przez plant tabor, potem wszystkie oddziały, oprócz dwóch plutonów, które zostały na dworcu.

Zapadła noc, pogodna, gwiaździsta, ale chłodna. Rozstawiono straże na otoczonym chatami prostokącie podwórza. Z karabinami u boku zozłożyły się na gołej ziemi, jak grupy z lawy, uśpione kompanie. Zapanowała głucha cisza. Czasem tylko brzęknął pałasz przesuwającego się oficera, rozlegało się niecierpliwe żucie wędzidła. Na dworcu w ciągu nocy przeprowadzono organizacyę obrony, umocniono dworzec, na ulicach, wiodących do niego, ustawiono barykady. Dwukrotny huk, jak wystrzał armatni, zamącił nagle nocną ciszę. Ocknął się biwak i okazało się, że z powodu, iż na stacyi Moskale przygotowują pociąg, by dostawić świeże wojska, żołnierze nasi wysadzili tor na skrzyżowaniu szyn.

W półśnie, w półmarzeniu, patrzyliśmy, jak bledną i gasną kolejno gwiazdy. Wreszcie oblokło się niebo seledynową poświatą, lekkim różem zabarwiły się obłoki i podniósł się różany świt, a wraz z nim podniosła się w piersiach radość marzenia, że oto stoimy z bronią w ręku w obliczu śmiertelnego wroga, by dać mu godną wolnego człowieka odpowiedź: strzał za strzał, cięcie za cięcie.

Gdy rozwidniło się zupełnie, przez lornetki, a nawet gołem okiem, można było na okolicznych wzgórzach obserwować ruch rosyjskiej konnicy, a jedno-

cześnie od naszych patroli konnych, agentów i życzliwej ludności cywilnej poczęły nadchodzić obfite raporty, że mamy przed sobą w Szydłówku, w odległości dwóch kilometrów, skonsygnowane dwa pułki kawaleryi, huzarów i kozaków, oraz brygadę straży pogranicznej. Z ruchów tych wojsk okazywało się wyraźnie, że wiążą nas i niepokoją na froncie, aby przeprowadzić ruch oskrzydlający i otoczyć wokoło.

Miałem sposobność mieć chwilę rozmowy z szefem sztabu i, dowiedziawszy się o sytuacyi, podziwiałem jego spokój, a nawet żartobliwy humor wobec tak niepomyślnych wieści. Około godziny 8-ej od strony Szydłówka posunął się ku nam gęsty oddział tyralierski spieszonej konnicy, ale na widok rozwijającej się naszej kompanii cofnął się tak szybko, że żołnierze zdołali wymienić zaledwie kilka strzałów. Podobny manewr zauważono ze strony wschodniej, tak, że trzeba było dawać baczenie na wszystkie trzy fronty. Wkrótce otrzymane od naszych patroli konnych meldunki zaświadczyły, że ruch okalający odbywa się w całej pełni: mianowicie w Niewachlowie i pod Szczuchowicami pojawiły się silne oddziały, złożone z dwóch szwadronów, takież mniejwięcej zauważono w Domuszowicach i Zmiorzu.

Na liniach wzgórz, otaczających Kielce, snuły się sylwetki konnicy wroga, w odległości jednak niesięgalnej dla karabinowego strzału. Pomimo takiej przewagi szef sztabu postanowił przyjąć bój, by nie demoralizować przedwczesnym odwrotem młodych żołnierzy i ochrzcić ich ogniem. Całą jego troską stało się utrzymanie linii odwrotu przez Karczówkę, ku szosie chęcińskiej, i w tym celu wysłał na tę drogę całą rozporządzalną jazdę. Około 9-ej zjawił się oddział konny Sokoła w sile 46 koni.

Przyjąwszy raport szef spytał: Czy konie zdrożone?

— Nie! — zabrzmiała odpowiedź.

— To możeby obywatele chcieli spróbować kozaków. Myśmy ich już próbowali!

I oddział został pchnięty na skrzydło, by utrzymać kontakt z wrogiem.

Tymczasem nadszedł meldunek, że na linii odwrotu pojawiły się kozackie patrole, że wróg zajmuje tyły, że koło się zaczyna zamykać i wreszcie najgroźniejszą wieść, że na wzgórzach Szydłówka wróg ustawia baterye artyleryi. Jakoż wkrótce na grzbiecie wzgórza zauważono ruch, Moskale zupełnie swobodnie, bez maskowania, ustawiali działa, wiedzieli bowiem, że u nas armat niema.

Oddziały nasze stanęły pod bronią, oczekując na dalszy bieg wypadków i rozkazy i przysłuchując się strzałom, spowodowanym utarczkami naszych patroli.

Koło godziny 11 podniósł się gorący dymek — moment ciszy a potem huk. Raz wraz systematycznie spokojnie poczęły bić armaty, — z początku na naszą

szczupłą linię tyralierską, wysuniętą w kierunku wschodnim, a gdy została granatami spędzona na pola, armaty zwróciły się ku folwarkowi.

Plutonami poczęła przystrzeliwać się baterya. Pierwsze strzały padły o sto kroków przed nami, wznosząc olbrzymi słup dymu, wreszcie z jakimś żelaznym świergotem wpadł granat w sam środek podwórza, roztrzaskał wóz i rozerwał konia. I wówczas dopiero rozległy się donośne komendy, zarządzające odwrót. Po uspokojeniu popłoszonych koni ruszyły naprzód tabory, między któremi był wóz ze 160 kilogramami dynamitu, potem kolumna, na końcu sztab, jako ariergarda jeden pluton rozsypany w tyraliery. Tymczasem bateryе grzmiały i grzmiały. Poryta ziemia, drobne gałązki drzew obsypywały ludzi, ale kule pękających szrapneli mijały nas szczęśliwie. Oddział w zupełnym porządku wciągnął się w lasy Karczówki, gdzie spodziewał się zastać kozaków i utorować drogę bagnetem.

Ale przerażeni mężną postawą oddziału kozacy pierzchli, więc, minąwszy Białogoń, wydostaliśmy się na szosę. Ogień armatni trwał ciągle, poczęto bowiem ostrzeliwać dworzec, gdzie zabarykadowali się strzelcy, by bronić się do ostatka. Skoro jednak granaty uszkodziły sąsiednie domy, cofnęli się, przejechali część drogi na drezynach i połączyli się z nami. Gdy byliśmy w pobliżu Chęcin, podniosły się kurzawy gorącego dymu, to płonął Czarnówek, z którego dziś pozostały jedynie opalone topole.

W bitwie dnia 12, 13, zginęło 38 ludzi ze strony wroga, my utraciliśmy 10 zabitych i rannych.

Pod Chęcinami spotkaliśmy batalion naszych strzelców i komendanta głównego, który nad połączonemi siłami objął dowództwo. Wkrótce przybył austryacki oddział strzelców cyklistów i dwa szwadrony jazdy. Siły te stanęły na wzgórzach pod Chęcinami, oczekując ofenzywy ze strony Moskali, którą sygnalizowały meldunki patroli konnych. Gdy do wieczora to nie nastąpiło — wojska nasze cofnęły się na dogodniejszą pozycyę na południowy prawy brzeg Nidy, by bronić mostów i przejścia przez rzekę. Następnego dnia, t. j. 14 sierpnia rano, rozmieszczenie naszych było następujące: centrum stanowiła kompania strzelców austryackich, prawe skrzydło jeden batalion naszych Strzelców, lewe drugi. Prócz tego detaszowano z sił naszych po jednej kompanii na skrajne skrzydła: na lewem do Żernik, na prawem do mostu kolejowego na Nidzie.

Nad ranem Moskale poczęli atakować, ale bardzo nieśmiało i po dwugodzinnej bitwie zostali odparci, przyczem z ręki strzelców padło ich dziewięciu, po naszej stronie jeden lekko ranny.

W tym czasie przybył do nas uciekinier z armii rosyjskiej, Polak, oficer huzarów, od którego dowiedzieliśmy się, że wojska rosyjskie były już nad Wisłą pod Solcem, ale na wieść o wkroczeniu Strzelców naszych otrzymali rozkaz

dążyć ku nam forsownym marszem, by nas zniszczyć, przyczem wyprawie tej nadano charakter ekspedycyi karnej, tak, że pod Kielcami mieliśmy przeciwko sobie brygadę jazdy, brygadę straży pogranicznej, baterye armat, oraz zdążającą rezerwę 14 dywizyi, a po zajęciu Kielc został wydany rozkaz: zdobyć „wo cztoby to ni stało“ t. j. nieodzownie Jędrzejów i zrównać go z ziemią. Istotnie zagony kozackie ruszyły pod Jędrzejów, ale skończyło się tylko na drobnych utarczkach Strzelców naszych po okolicznych lasach. Jędrzejów został przez nas ocalony, a dn. 15 b. m. przybycie nowych sił naszych, oraz nadciągająca sąsiednią szosą dywizya austryacka zmusiły Moskali do cofnięcia się na całej linii. W potyczkach pod Jędrzejowem padło z rąk strzelców 7 kozaków, my nie ponieśliśmy strat żadnych.

O naszej dotychczasowej działalności generał austryacki wyraził się publicznie, że Strzelcy sprawnością i męstwem niczem nie ustępują regularnej armii.

Od mieszkańców Kielc dowiedzieliśmy się, że oficerowie rosyjscy przerażeni są działalnością tej, jak nas nazywali, zanim poznali na własnej skórze — „bandy“, a odwrót nasz z pod Kielc podziwiają, jako mistrzowstwo sztuki wojennej.

Ten pierwszy chrzest rwących granatów i pękających szrapneli, przyjęty ze spokojem, męstwem, rozżagwił płomienne serca naszych żołnierzy, a na ustach zastygł jeden wyraz: naprzód! To też z pewnym smutkiem przyjęty został rozkaz, wstrzymujący nasz pochód z powodu organizowania się w Krakowie Legionów. Ale smutek ten pierzchnął szybko, zaufanie bowiem wojsk do władzy naczelnej jest bezgraniczne. Dziś dumą i radością wzbierają dusze nasze, że nasze energiczne wystąpienie, strzały nasze, podniosły zdławione niewolą piersi Narodu, że ocknął się zdrowy instynkt, zabiło żywem tętnem rycerskie serce Polski, że dłoń zniewolona, stargawszy pęta, zbroi się świetnem lśnieniem zwycięskiego miecza, a nasze stopy ozdobione dźwięczną ostrogą wstępują w bohaterskie przodków strzemie.

~~Gustaw~~ Daniłowski.

—

Kiedy dziś zastanawiam się, dlaczego pod Kielcami
Moskale [illegible] olbrzymiej przewadze sił nie
zniszczyli nas całkowicie – to dochodzę do wniosku, że ocaliła
nas od [illegible] względy [illegible] wszystkim, który okazał [illegible]
nasz dowódca szef sztabu Sosnkowski. Szczególnie [illegible]
do ostatka [illegible] [illegible] [illegible] i [illegible].
[illegible] postawa i spokój w tak trudnej sytuacji [illegible]
[illegible] w [illegible], że [illegible] [illegible]
[illegible], gdzie [illegible]
że być może [illegible] tylko [illegible] w danym wypadku
oddziałów. Element [illegible] [illegible] bardzo [illegible]
jak wartość

Czternastodniowa działalność Strzelców pod komendą Józefa Piłsudskiego.

„Według otrzymanych meldunków okazuje się, że kawalerya rosyjska przysuwa się ku nam od strony Opatowa. W razie ataku spada na nas obowiązek bronienia odcinka okopu północno-wschodniego“. Tak brzmiały ostatnie słowa odprawy, danej nam w pałacu gubernatorskim w Kielcach dnia 9/IX około godziny 8-mej wieczorem. Wiadomość ta nie wywarła żadnego wrażenia, miewaliśmy bowiem poprzednich dni meldunki daleko groźniejsze i byliśmy pewni, że, zwłaszcza, o ile otrzymamy parę dział, potrafimy się utrzymać w mieście, w którem okopaliśmy sie i zagospodarowali, obierając ten punkt jako bazę operacyjną spodziewanego pochodu naprzód ku Warszawie.

Zasiedliśmy spokojnie do kolacyi, gdzie wkrótce zapanował ten wesoły niefrasobliwy nastrój, jaki cechuje nasz oddział, ten oddział, który pierwszy wszedł do Królestwa, już się bił i nauczył się kpić ze świszczących nad głowami granatów i pękających szrapneli. Dopiero około 10-tej ogarnęła nas pewna trwoga, rozeszła się bowiem głucha wieść, że z rozkazu, pochodzacego z Krakowa, mamy bez boju opuszczać Kielce, a ruch w gabinecie komendanta potwierdzał, że istotnie coś nowego zaszło. Wkrótce też zjawił się wezwany adjutant i oświadczył nam, że nie mamy kłaść się spać, gdyż o 4-tej rano następuje wymarsz. W półgodziny przyszedł inny rozkaz, że wyruszamy dopiero o 8-mej, możemy więc spać — oprócz dwóch adjutantów, którzy wyruszyli natychmiast, aby ściągnąć z pozycyi wyrzucone dalej, poza Kielce placówki. W rezultacie nazajutrz 10/XI dopiero około południa większa część oddziału pod komendą zastępcy komendanta, ob. Sosnkowskiego, wyruszała wraz z oddziałem niemieckim, przy którym pełniła uciążliwą służbę obrony. Komendant, ob. Piłsudski, wymaszerował z resztą oddziału dopiero około drugiej, postanowił bowiem, jak się wyraził, z nagromadzonych zapasów ani jednego rzemyka nie pozostawić Moskalom. Dużo więc czasu zajęło poruszenie olbrzymiego taboru II-go rzędu, około stopięćdziesiąt wozów

Z ciężkiem sercem, z uczuciem pewnej goryczy, żalu, a nawet wstydu opuszczaliśmy miasto, wiedząc, że, gdy wyjdziemy, zajmą je z powrotem Moskale.

Pociechę przyniosła wiadomość, że idziemy stoczyć bitwę, pociechę zresztą wątłą, bo według naszych wywiadów, które prawie nigdy nie zawodziły, spodziewaliśmy się najwyżej spotkać forpoczty jazdy rosyjskiej, które na nasz widok pierzchną, jak zwykle, i skończy się na krótkiej wymianie kilku strzałów. Szliśmy jednak posłusznie z Kielc prosto na południe i pod wieczór dotarliśmy do Morawicy. Marsz ten nie był zbyt ciężki. Dzień był jasny, nieco chłodny, pogodny, dobra droga, przestrzeń niezbyt wielka, zaledwie trzy mile.

W Morawicy było trochę pod względem noclegu niewygodnie. Odczuwaliśmy też brak chleba i, by go dostarczyć i nazajutrz przed świtem nakarmić żołnierzy, sprężysta nasza intendantura pracowała całą noc. Około piątej rano dźwignął się tabor, potem oddziały i odbył się szalony marsz 35-kilometrowy, z kilkugodzinnym zaledwie postojem w Chmielniku, w dzień prawie gorący, po złych drogach, w takiej kurzawie, że kolumny chwilami ginęły w żółtym pyle i dawały znać o sobie tylko pieśnią, która prawie nie schodzi z ust strzelców i wyrywa się ze szczególną brawurą w chwilach, gdy ciężko.

„Strzelzen singen“ dziwili się Niemcy, a czasem niepokoili się, że grzmot głosów może sprowadzić wroga. Pod wieczór jednak, o kilka kilometrów od Wielkich Grabek, gdzie miał nastąpić nocleg, pieśni zamarły. Znużone kolumny posuwały się już prawie machinalnie, w śmiertelnej ciszy, najostrzejsze konie powłóczyły nogami, a po przydrożnych rowach coraz częściej dawały się zauważyć rozciągnięte cienie leżących nieruchomo ludzi. „Obywatelu — odzywał się czasem któryś z przechodzących oficerów — wstańcie, jesteśmy tuż, tuż“, ale cień ani drgnął. Niewiadomo było, który śpi, który zemdlał, który może nie żyje. Kolumny jednak zatrzymywać niepodobna. O tych, co padli, zatroszczą się sanitaryusze. Idziemy dalej. Ostatni kilometr wydaje się milą. Wreszcie stajemy u celu. Doktorzy na wozach z latarniami jadą zbierać maruderów. Komendant zarządza odprawę, odbiera meldunki od daleko patrolującej kawaleryi, jemy kolacyę i wkrótce wszyscy walą się, gdzie się da, jak snopy na sen. Czuwają jedynie straże, nie śpią i intendenci. Komendant pozwala wstać dopiero o szóstej, by ludzie wypoczęli. I to wystarcza.

Nazajutrz wszyscy zdrowi, odświeżeni, stawiają się wesoło na zbiórkę, i choć mży deszczyk i niebo całe zaciągnięte jest mgłą, wróżącą słotę, odzywają się radosne strzeleckie piosenki. Deszcz pada i pada, płaszczy niema, wielu w letnich mundurach, w rozciapanych butach, chłód przejmujący. Ale to nic, śpiewamy na rozgrzewkę. Mijamy drogi leśne, wreszcie zziębnięci i zmoczeni w nocy stajemy w Stopnicy. Gdzie pójdziemy dalej, nie wiemy. Może do Opatowa, może pod Połaniec, gdzie sygnalizują nam obecność wroga. Wkrótce jednak okazuje się, że idziemy na Pacanów. Przeciągają się miny. Deszcz wydaje się zjadliwszy, bo blizkość granicy trwoży. Ciężko jest bowiem, wtargnąwszy na sto

kilkadziesiąt kilometrów w głąb Królestwa, znaleźć się znowu w Galicyi. W Pacanowie łączymy się z oddziałem, prowadzonym przez zastępcę komendanta i witamy się tak radośnie, jakbyśmy się wieki nie widzieli.

Po półgodzinnym postoju idziemy dalej. Do szybszego pochodu naglą nas władze austryackie, meldujące, że most pod Szczucinem ma być natychmiast spalony. Komenda nasza wysyła kuryerów z wiadomościami, że wroga niema, że zarządzenie to jest przedwczesne — i most pozostaje. Mijamy straże austryackie, spotykamy trochę naszych strzelców, od których dowiadujemy się, że mamy tu zmienić werndle na manlichery.

Bitwy, jak przypuszczaliśmy nie było, tylko drobna potyczka w Staszowie, gdzie zginął jeden nasz z konnego oddziału, rekrut z Kielc, Jan Jamrocz, któremu rosyjski karabin ani razu nie wystrzelił; po rozcięciu ładunków okazało się, że niema w nich prochu. Jamrocz został zabrany przez naszą jazdę i pochowany z honorami. Pod Beszową nasza ukryta placówka pierwszego batalionu przypuściła na sto kroków patrol z pięciu kozaków i dała salwę, od której jeden zginął, a drugi ranny, został porwany przez towarzyszy. Świetny nasz marsz z pod Kielc otrzymał wysokie pochwały komendy austryackiej w rozkazie dziennym do wojsk.

Dzień następny zajęło rozdawanie manlicherów, ciepłej bielizny i koców, które wreszcie nadeszły, a nazajutrz, t. j. 16/IX rano cały oddział ruszył do Kozłowa, otrzymawszy zlecenie ochrony Wisły od ujścia Dunajca do Strojcowa. Kawalerya nasza, wysłana naprzód, około południa minąwszy Kozłów, posunęła się ku Borusowej, gdzie właśnie w tym czasie odbywała się przez Wisłę strzelanina pomiędzy posterunkiem żandarmeryi austryackiej a patrolem jazdy rosyjskiej. Właśnie, gdy nasz patrol przedni pod dowództwem plutonowego Orlicza mijał strzelających, kapral austryacki został ranny. Orlicz, odprowadziwszy swój patrol nieco w dół rzeki, wybrał z pośród swych ludzi czterech najlepszych pływaków, rozebrał się sam do naga, kazał to samo uczynić ludziom i tylko z karabinami w opasaniu ładownic rzucili się wpław przez Wisłę. Pierwszy dotarł do brzegu sam Orlicz, gdy nagle usłyszał za sobą krzyk tonącego kawalerzysty, którego w lodowatej wodzie schwycił skurcz nóg. Orlicz rzucił się powtórnie w nurty, wyciągnął towarzysza i natychmiast piątka zupełnie nagich, do szpiku kości zziębniętych ludzi ruszyła na wywiad na Nowy Korczyn.

W tej chwili strzelanina pomiędzy wojskiem austryackiem i rosyjskiem ustała. Gdy patrol nasz podszedł pod Nowy Korczyn, ujrzał zupełnie sielski obraz — huzarów rosyjskich, piorących bieliznę. Orlicz kazał dać ognia, którym wywołał tak straszny popłoch, że dopiero po chwili opamiętania się naprzeciwko pięciu naszych wyruszyło trzydziestu spieszonych kawalerzystów z konną osłoną skrzydeł posuwającej się linii tyralierskiej.

Orlicz, lekko ranny w nogę, po wyczerpaniu wszystkich naboi cofnął się w nadbrzeżne łozy, kilku zaś Rosyan, a pomiędzy nimi dowodzący oficer, zostali strzałami wybici z szeregu.

Komendant nasz, dowiedziawszy się o tem, co zaszło, kazał ukrytym w łozach dostawić łódką ubranie i pozostać po drugiej stronie rzeki do wieczora, nocą bowiem postanowił owładnąć N. Korczynem. W tym celu wysłane zostały za Wisłę dwa oddziały. Jeden — pod dowództwem ob. Rydza — przeprawił się na głównym przewozie z rozkazem owładnięcia mostem na Nidzie, drugi — pod dowództwem ob. Norwida — przeprawił się niżej ujścia Nidy, by wyjść na północy kraniec Korczyna. Siły ogólne stanowiło czterystu kilkudziesięciu ludzi.

Marsz nocny odbył się bez przeszkód, gdyż, jak się okazało, nieprzyjaciel opuścił miasto i N. Korczyn bez wystrzału został zajęty przez nasze wojska.

Wobec tego, że następnego dnia 18/IX został do wojsk wydany ogólny rozkaz, że ochrona Wisły ma być traktowana nie jako czysta defenzywa, lecz prowadzona w duchu ofenzywy, komendant natychmiast rozkazał wzmocnienie oddziału w N. Korczynie (w Królestwie na lewym brzegu Wisły), doprowadzając go do liczby 600, a zważywszy na to, że obrona nizkiego prawego brzegu nie mogła być prowadzona bez zajęcia części wznoszących się na lewym brzegu pagórków od Winiar do Opatowca, promem w Opatowcu przeprawił wraz z jazdą nowy oddział, który zajął Opatowiec-Winiary, jazda zaś ruszyła na północ prawym brzegiem Nidy.

Dzień 18 minął spokojnie. Dopiero pod wieczór usłyszano głuchy łoskot armatnich strzałów od wschodu, gdzie również podniosła się wkrótce szeroka, wydłużona łuna, a następnie przyszły wieści o spaleniu mostu pod Szczucinem, o budowaniu jakoby jakiegoś drugiego mostu przez Rosyan w tych okolicach, wraz z nakazem niszczenia wszelkich przepraw, łódek i przewozów na Wiśle. Komendant nasz sprzeciwił się stanowczo ostatniemu rozporządzeniu, niweczącemu linię odwrotu naszym wojskom, znajdującym się na lewym brzegu Wisły i, wziąwszy sprawę na własną odpowiedzialność, przy istniejących środkach przewozu postawił swoje warty. Zanim jednak zdążono to uczynić, część przewozów została zniszczona, energiczne działanie naszych wojsk zdołało jednak uratować pomiędzy innemi statek Krystyna, który pod strzałami patroli kozackich nie chciał ruszyć ani w tył ani naprzód.

Spalenie mostu pod Szczucinem przez wojska austryackie, zarządzenie niszczenia przewozów mówiło wyraźnie, że Austryacy zrzekają się ofenzywy i nie myślą iść wcale na lewy brzeg Wisły. Tak się istotnie stało: na terenie Królestwa za Wisłą cały czas działały jedynie nasze strzeleckie oddziały, zupełnie izolowane od wojsk austryackich, pozostawione same sobie.

Nazajutrz 19 od rana zaczęły nadchodzić meldunki o posuwaniu się patroli nieprzyjacielskich z dwóch stron, od Buska i Stopnicy, a około 2-giej padły pierwsze strzały, które, wzmagając się, zmieniły się w potyczkę pod N. Korczynem. Moskale ostrzeliwali nas od Badrzychowic na drodze do Buska i od Ostrowiec na drodze do Stopnicy. Nasi, utrzymując nieprzyjaciela w ostatnim kierunku, w pierwszym prowadzili atak i, oczyściwszy drogę od wroga, który ściągnął do lasku, znajdującego się pomiędzy wspomnianemi drogami, ruszyli atakiem na las. Ale tu ulewą kul przywitały naszych karabiny maszynowe: dwa w lasku, dwa zaś około Grot Małych, bijące gradem przeciwko naszym, broniącym się w Wielkich Grotach. Karabiny te powstrzymały atak na las, przyczem 1 pluton, stanowiący lewe skrzydło, ucierpiał względnie dużo, straciwszy w jednej chwili 5 ludzi — 1 zabitego i 4 rannych.

Od tej chwili do zmierzchu pozycye stron walczących nie zmieniały się wcale. Dopiero pod wieczór ogień nieprzyjacielski począł słabnąć, z czego korzystając, nasi dokończyli ataku i weszli za cofającym się wrogiem do lasku. Tu przed frontem znaleźli kilku zabitych z V pułku huzarów.

Z bitwy tej okazało się, że nasi ludzie nie odczuwają tego denerwującego wpływu, jaki wywiera pierwsze spotkanie z tak morderczem narzędziem, jak karabin maszynowy, że Rosyanie naogół nie tęgo strzelają i muszą mieć wadliwe ładunki, gdyż kule z karabinów maszynowych z odległości 800 kroków nie przebijały ciała na wylot. Powierzchowne te rany wywoływały wesołość wśród naszych strzelców, którzy po nałożeniu opatrunku okrwawieni biegli ochoczo z powrotem na linię.

Po zwycięsko stoczonej potyczce oddział nasz, wystawiwszy wzmocnione forpoczty, wrócił na noc do N. Korczyna. Jazda, wysłana w stronę Wiślicy, zniszczyła tam most, wzmacniany przez Rosyan, i, wypędziwszy kozaków, zajęła to miasteczko. Przy tym nagłym napadzie kawaleryi naszej na Wiślicę został ciężko ranny i wzięty do niewoli oficer-podesauł, dowodzący kozakami, który zmarł tegoż dnia. Ze znalezionych przy nim papierów dowiedzieliśmy się, że należy do piątego orenburskiego pułku kozaków, który na początku wojny został przetranzlokowany z Taszkientu do Warszawy. Z przebiegu bitwy i wywiadów obliczyliśmy, że tego dnia mieliśmy przeciwko sobie 5 szwadronów i sotnię, należące do różnych pułków piątej dywizyi armii i piątego pułku orenburskich kozaków.

Wieczorne wiadomości zdawały się wskazywać, że atakujący nas nieprzyjaciel zatrzymał się na noc w Zagórzanach i Ostrowcach, umieszczając karabiny maszynowe i jaszczyki nieco w tyle, po drodze do Pacanowa. Wobec tego komendant nasz nakazał nocny atak świeżych sił, około 600 ludzi, które zostały przeprawione z prawego brzegu Wisły, by uderzyć na obozowisko rosyjskie,

przyczem 1 oddział otrzymał rozkaz zajść tyły nieprzyjacielskie od strony Wełnina.

W czarną noc, wśród siekącego deszczu i strasznego wichru, hulającego nad wzbierającą Wisłą, sprawnie i cicho przeprawili się Strzelcy nasi koło Strojcowa i Pawłowa. Niestety, meldunki okazały się fałszywemi, gdyż Moskale cofnęli się dalej na północ i nocowali w Solcu i za Solcem, tak że, gdy nasi doszli do wskazanych punktów, spotkali tylko posterunki kozackie, które pierzchnęły. Zmęczone nieprzespaną nocą i nocnym marszem po błocie i wśród słoty oddziały nasze zatrzymały się na krótki odpoczynek i tylko patrole poszły za uciekającymi kozakami. O parę jednak kilometrów musiały się cofnąć, napotkawszy silniejszy oddział. Rozległy się gęste strzały karabinowe, a około 10-tej rano 20-go zaczęły grać nieprzyjacielskie armaty.

Pozbawione artyleryi oddziały nasze w Zagórzanach i Ostrowcu rozpoczęły powolny odwrót ku N. Korczynowi. Dzięki zręcznemu manewrowi komendanta batalionu Fleszara, który zrobił widoczne dla nieprzyjaciela poruszenie w kierunku południowym. prostopadle ku Wiśle, ogień armatni nie zaszkodził nam wcale, gdyż Rosyanie gwałtownie poczęli ostrzeliwać tę drogę, pozostawiając długo w spokoju istotny kierunek naszego odwrotu na N. Korczyn, dokąd o godzinie 1-ej ściągnęły oddziały nasze, należące do nocnej wyprawy, a w ślad za niemi poczęła się zbliżać nawała nieprzyjacielska z działami i karabinami maszynowymi. Tym razem atak był prowadzony wyłącznie od strony Stopnicy, tak że oddziały nasze, ochraniające drogę na Busk, nie miały przed sobą sił wroga.

Bez poparcia artyleryi niepodobieństwem było utrzymać się w N. Korczynie, gdzie w ciasnych uliczkach miasteczka pociski nieprzyjacielskie mogłyby spowodować zbyt wielkie straty, to też komendant polecił pod wieczór opuścić N. Korczyn. Część oddziału kazał przeprawić na prawą stronę Wisły koło wsi Borusowej, a innym zająć front na wzgórzach Winiary — Opatowiec. Dopiero przy naszym odwrocie zaczęły grać stojące za Wisłą armaty austryackie, ściągając na siebie część nieprzyjacielskiego ognia. Odwrót odbył się w zupełnym porządku i spokoju, pomimo że podczas przejścia wązkiego mostu na Nidzie granaty pękały tuż obok, w wodzie. Od artyleryi dnia tego strat nie mieliśmy żadnych. Nie doliczyliśmy się tylko 8 ludzi, którzy nazajutrz, dzięki życzliwej opiece miejscowej ludności, dotarli szczęśliwie do swoich oddziałów i, jak się okazało, spędzili noc w sąsiedztwie kozaków.

W tej bitwie mieliśmy do czynienia z 8 secinami kozaków piątej dywizyi kawaleryi i piątego pułku kozaków orenburskich, których popierały dwie baterye armat i 4 karabiny maszynowe. Tegoż dnia 1 pluton kawaleryi naszej, wysłany na wywiady za Wiślicę w stronę Buska, skutkiem zdrady chłopa wpadł w zasadzkę i, otoczony przez trzy szwadrony jazdy, musiał przebijać się białą

bronią, przyczem jeden z naszych dostał się do niewoli, a drugi, Stanisław Lorenc, położywszy trupem kilku Moskali, ostatnią kulą odebrał sobie życie. W tym czasie po drugiej stronie Nidy reszta szwadronu zwycięsko potykała się z rosyjską jazdą, odpierając ją w stronę lasu koło Chrobrza i zadając ciężkie straty. W rezultacie Rosyanie poszli w rozsypkę, straciwszy 10 zabitych i rannych oraz jednego wziętego do niewoli.

Dzień 21 i 22 minął względnie spokojnie, wśród drobnych utarczek wyrzuconego naprzód oddziału naszej kawaleryi ze zbliżającą się z coraz większą natarczywością jazdą rosyjską, oraz wymiany kilkunastu strzałów armatnich przez Wisłę pomiędzy artyleryą austryacką i rosyjską. Front naszego oddziału, znajdującego się po lewej stronie Wisły, stał się tak nienormalnie długi, że, zwłaszcza wobec znużenia żołnierzy, zachodziła nieustanna obawa przerwania przez nieprzyjaciela tej wązkiej linii forpocztowej, w którą właściwie zmienił się cały oddział. Pomimo to komendant postanowił raz jeszcze odeprzeć nieprzyjaciela za pomocą nocnego natarcia. Jako punkt napadu wybrano Szczytniki, miejsce najsilniejszego posterunku kawaleryi rosyjskiej, na lewym brzegu Nidy. Atak, prowadzony pod dowództwem naczelnika jazdy naszej, obywatela Beliny, powiódł się najzupełniej. Skradając się cicho, otulony mgłą i siatką mżącego deszczu, 23 o mętnym świcie oddział piechoty naszej i spieszonej kawaleryi wtargnął ze wszystkich stron do Szczytnik i wyciął niemal w pień cały oddział moskiewski. Z 50 kozaków i 4 dragonów 14 pułku zaledwie 8 zdołało się ocalić, uciekając oklep na koniach. Z naszej strony padł po bohaterskiej walce podoficer Janusz Bernatowicz, który jako prawy Polak przeszedł około Kielc z szeregów armii carskiej do wojska . Prócz niego mieliśmy 2 rannych.

Wobec szybko nadciągających z różnych stron przeważających sił nieprzyjacielskich nie byliśmy w stanie zabrać całej zdobyczy, zdołaliśmy pochwycić 2 konie, 8 siodeł, kilkanaście karabinów, 3 jeńców, z których 2 byli ranni, 1 zdrów zupełnie z piątego pułku kozaków i 14 pułku dragonów, oraz papiery zabitego oficera 5 pułku kozaków dońskich. Z wywiadów i z zeznań jeńców dowiedzieliśmy się o gromadzeniu się wielkich sił nieprzyjacielskich w Busku i o naprawie zepsutego przez nas mostu w Wiślicy.

Wobec wielkiego znużenia jazdy naszej, która przez kilka dni stawiała śmiało czoło przeważającym siłom, rozkazano jej cofnąć się do najmniej zagrożonego punktu — do dworu w Czarkowej, wsławionego pamiątkami kilkudniowego pobytu Kościuszki. Ale już około godziny drugiej po południu Rosyanie z dwóch stron, z za Nidy i od Wiślicy uderzyli całą siłą na nasze oddziały, będące i tego dnia, i poprzednich, i później jedynemi siłami, działającemi w Królestwie na lewym brzegu Wisły. Tym razem atak Rosyan, jakby przez zemstę za Szczytniki, był prowadzony ze wściekłą furyą: armaty i karabiny maszynowe

grzmiały przez kilka godzin bez przerwy. Najbardziej zagrożone zostały wojska nasze, stojące we wsi Ksany i okolicy. Specyalnie 1 pluton obyw. Młota, wysunięty w stronę Czarkowej, został osaczony przez nieprzyjaciela i w bohaterskiej obronie wytrwał, pomimo ogromnych strat, do wieczora, nie ustępując ani piędzi ziemi. Ostrzeliwany z flanku przez karabiny maszynowe, atakowany z frontu przez dwie seciny kozaków, którzy z dzikimi wrzaskami rzucali się naprzód, pluton ten celnym i szybkim ogniem przez dwie godziny odpierał atak, a wszyscy ranni do ostatka brali udział w boju.

Po nadejściu pomocy najbliższe trupy kozackie znaleziono w odległości 100 kroków. Wysłana pomoc posuwała się z wielką trudnością, gdyż artylerya zasypywała szrapnelami i granatami całą przestrzeń pomiędzy plutonem a ciągnącemi na odsiecz siłami. Jednocześnie inne siły nieprzyjacielskie z bateryą armat próbowały ataku przez las w Chrustowicach na tyły całego naszego oddziału w Winiarach i Chwalibogowicach. Szczególnie ciężką była chwila, gdy spalone granatami Ksany musiały być opuszczone przez stojących tam strzelców, skutkiem czego całe lewe skrzydło zostało odsłonięte. Wówczas komendant postanowił rzucić resztę sił, stojących jeszcze na prawym brzegu Wisły, ale szło to bardzo powoli. W krytycznej chwili oddziały nasze zaledwie podciągały ku przeprawie w Opatowcu, 6 godzin bowiem trwało zluzowanie ich przez wojska austryackie, mające zająć ich miejsce przy ochronie Wisły.

Położenie wydawało się prawie rozpaczliwe, tem bardziej, że Wisła i Dunajec wzbierały z każdą sekundą i wreszcie rozlały się jakby w zatokę morską, wzburzoną szarpiącymi się wirami spienionej wody. Pierwsze przeprawione oddziały zostały pchnięte w stronę lasku chrustowickiego, lecz nieprzyjaciel już się cofał ku Wiślicy, a wkrótce zapadający mrok, nadrzeczne mgły, a wreszcie noc ukryły słabe liczebnie i wyczerpane nasze siły od wzroku wroga i jego pocisków.

Wobec wyznaczenia na dzień następny 24/IX zaszczytnej roli awangardy, komendant nasz, pomimo znużenia ludzi i niesłychanie trudnych warunków przeprawy, zarządził w nocy przerzucenie wszystkich wojsk naszych na lewy brzeg Wisły i zajęcie odpowiednich pozycyi. O trudnościach przeprawy można sądzić z tego, że przejazd na drugą stronę na zdefektowanych promach trwał 3 kwadranse, grożąc każdej chwili, że prom zostanie porwany przez szalejący prąd w dół Wisły pod ogień posterunków nieprzyjacielskich.

O godzinie 1-ej w nocy ostatni nasi żołnierze znaleźli się na lewym brzegu Wisły, a w godzinę potem komendant został zwolniony z oczekujących go nazajutrz obowiązków, gdyż wobec powodzi zamierzone operacye zostały wstrzymane.

Wobec tego komendant, nie chcąc narażać zmęczonego i zupełnie izolowanego oddziału na prawdopodobną nową bitwę o świcie zę wzburzoną Wisłą za plecami, zarządził przeprawę z powrotem. Przy pomocy saperów austryackich, którzy przybyli z pontonami, oddział nasz, zabierając wszystkie swe bagaże, zabitych i rannych, o godzinie 11-ej zrana znalazł się w Gręboszowie na dobrze zasłużonym spoczynku. W Gręboszowie pochowano z honorami poległych śmiercią waleczną towarzyszy.

Lista strat w ciągu tych kilku dni boju była następująca:

Zabici: W dniu 19 pod N. Korczynem: Piecieszyński, pseudonim Zbych, z Warszawy, szeregowiec; Edmund Lasarini de Colonna z Warszawy, podoficer; Henryk Wiszor z Przemyśla, szeregowiec.

W dniu 21 w Kobylnikach: Stanisław Lorenc, szeregowiec oddziału konnego z Krakowa.

W dniu 23 pod Szczytnikami i w innych bitwach: Janusz Bernatowicz z Królestwa, oficer jazdy; Tadeusz Grabiński z Królestwa, podoficer; Aleksander Sam z Królestwa, podoficer; Walenty Niemczyk z Komorowic, pow. Biała, podoficer; Maryan Nowak z Jarosławia, podoficer; Adam Pawłowski i Jaskółkowski z powiatu Nowy Sącz, szeregowcy; Zenon Malinka z Podhajec, szeregowiec; Aleksander Kolusiak z Bochni, szeregowiec; Maryan Hillebrand ze Stanisławowa, szeregowiec; Wincenty Kulpa, szeregowiec; Stanisław Rokosz z Krakowa, szeregowiec. — Zginął bez wieści Roman Milka, szeregowiec.

Ranni: 19-go pod N. Korczynem: Ferencowicz Władysław, Malinowski Jan, Trembiński Jan — wszyscy z Królestwa; Dreszer Gustaw, plutonowy oddziału konnego (bardzo lekko).

20-go również pod N. Korczynem: Dudziak Jan i Gut Maryan, podoficerowie; Łodzia, szeregowiec.

23-go pod Czarkową; Filuk Wiktor z Kołomyi, Machowicki Ludwik z Bochni, Bojanowski Kazimierz z Tarnopola, Wirski Jan z Olkusza, Szczudło Józef z Tarnopola, Radek Mieczysław i Pająk Kazimierz z Królestwa.

Niewątpliwie żal nam serdeczny poległych dzielnych towarzyszy broni, bolą nas cierpienia rannych. Ale jeżeli spojrzymy na straty, poniesione w kilkudniowym boju z przewagą liczebną wroga, zbrojnego w dodatku w baterye dział i mordercze karabiny maszynowe, z punktu wojskowego, to liczba 19 zabitych i 14 rannych jest zdumiewająco mała i stwierdza łacińskie przysłowie: *Audaces fortuna iuvat* — mężnym los sprzyja.

Gustaw Daniłowski.

L a s k i.

Na ciężkie próby wystawiona była wojenna sprawność naszego oddziału w miesiącu październiku. Po tygodniu samodzielnych bojów korczyńskich, które wstępem były do drugiej wielkiej ofenzywy na Królestwo, ruszyliśmy w związku z krakowskim korpusem (armii gen. Dankla) wzdłuż Wisły na wschód.

Jak najśpieszniej, za wszelką cenę trzeba było słabe stosunkowo (parę pułków strzeleckich) siły nieprzyjaciela doprzeć za Sandomierz — w zakręt rzeki. „Zwycięstwo leżało w nogach“ — mówiły rozkazy dzienne.

Piękne, słoneczne dni sierpnia minęły już dawno. Ciągłe deszcze zamieniły bezdroża południa Królestwa w beznadziejne trzęsawiska; szczególnie złe, ciężkie drogi były w Sandomierszczyźnie.

Ludzie chorowali, nie wytrzymując forsownych, nieraz 40 kilometrów przenoszących marszów. Konie padały dziesiątkami; tabory, grzęznąc po osie w gęstej, lepkiej masie błót sandomierskich, nie dochodziły prawie nigdy na termin, dowóz żywności był niemożliwy; okolica wyniszczona wojną wykarmić wielkich mas wojska nie mogła.

Nic dziwnego, że przy słabszym fizycznie materyale, przy nędznym wyekwipowaniu, braku kucheń polowych, — tem silniej pochód odbijał się na naszym oddziale; topniał z dnia na dzień; dziesiątki maroderów i chorych zostawały w tyle.

Jednak szybki pochód naprzód, ślady klęski i panicznej nieraz ucieczki Moskali — podtrzymywały ducha. Budziły się znów nadzieje na jaśniejszą może przyszłość. Optymiści podnieśli głowy: coraz żywiej mówiło się o pochodzie ku Warszawie, o przyszłym, blizkim już może rozroście siły polskiej.

Mimo zmęczenia pochodem, niejeden z nas z mapą w ręku śledził gorączkowo dyspozycyę na marsz następny. Przypuszczeniom, dyskusyom, dokąd pójdziemy, nie było końca.

Zwracamy wreszcie z pod Sandomierza ku północy. Cel zdaje się być blizki. Wielu wyobraźnia drogie mury, upragnioną sylwetkę Warszawy rysuje. Zamracza na chwilę pogodny ten nastrój detaszowanie kawaleryi naszej (pod Beliną rotm.)

VIII a

Za Kordon Graniczny

Pamiętam ten dzień, gdy na zebraniu Komisyi Skonfederowanych Stronnictw Niepodległościowych zjawił się Piłsudski, by zawiadomić, iż postanowił wkroczyć ze swym oddziałem w granice Królestwa Polskiego, że postanowienie to jest nieodwołalne, rozkazy wydane, pierwsza kompania już przekroczyła kordon, a wymarsz następnych w określonym terminie nastąpi.
W sali zapanował moment tej ciszy, która towarzyszy czynom wielkim i decydującym, potem rozległy się brawa, życzenia pomyślności. Komendant wyszedł, by kończyć gorączkową sprawę organizacyi oddziału, tegoż dnia popołudniu wyjechał, a nocą bez ostentacyjnych pożegnań, niemal tajemnie, wyruszyły oddziały dwiema drogami: na Ojców i Słomniki, by połączyć się w Miechowie.
Z uczuciem podniosłej dumy przekraczaliśmy kordon. Z niedającą się określić radością, z pieśnią na ustach i karabinem w ręku wracamy po latach w otwarty bój.
Wśród różnorodnych wrażeń, uprzednio nam nieznanych, a przeżywanych w tych chwilach tak obficie, mieliśmy jedynie mętne poczucie doniosłości czy-

na Piłsudskiego, którą dopiero teraz jesteśmy w stanie uświadomić sobie dokładnie.

Dziś rozumiemy wszyscy, że 6ty sierpnia był niejako odwróceniem bladych kart historyi Polski, by rozpocząć nową, bijącą ogniem stronicę, że gdyby Piłsudski nie powziął tej śmiałej, nieco może ryzykownej decyzyi, cała sprawa mogłaby utonąć w powodzi dyskusyi w poszukiwaniu racyonalnej oryentacyi, której malkontenci od roku szukają i znaleźć nie mogą; że w grzmocie dział, którym zostaliśmy powitani pod Kielcami – wrodziły się Legiony Polskie, nastąpiła decyzya stronnictw Galicyi, jęły się łamać lody obojętności Królestwa. Bez względu na to, coby się stać miało, dzień 6-go sierpnia i tworzące się w tym dniu Legiony uratowały honor Polski.

Oddziały Piłsudskiego bagnetami swymi wyniosły z otchłani zapomnienia Sprawę polską, zamanifestowały samoistność jej aspiracyi, istnienie jej życiorodnych sił, wryły bronią na tablicy dziejów płomienne głoski, które się palić wiecznie będą w duszy Narodu.

Do takich dni, jak dzień 29-listopada, 22-go stycznia, przybywa równorzędna, w nieobliczalne skutki brzemienna, nowa data, a do panteonu bohaterów narodowych przybywają nowe imiona, a przedewszystkiem imię naszego Komendanta, równie wzniosłe w intencye, a o tyle szczęśliwsze, że zwycięskie.

Naród błądzący od katastrofy 63-go roku manowcami, w dniu 6-go sierpnia wkroczył na właściwą drogę, którą szedł od rozbiorów, wiedziony zdrowym instynktem, na drogę walki zbrojnej o wolną swą egzystencyę, i walka ta porywa z sobą najszlachetniejsze dusze.
Bitność i czyny Legionów są dziś powszechnie znane. Przybyły nam nowe święte mogiły, które się staną celem pielgrzymek pokoleń. Chwała polskiego oręża rozwinęła swe wspaniałe skrzydła nad ziemią ojczystą. Krew mężnych przywraca jej wybladłemu obliczu gorący rumieniec życia. Tajemny wyrzut sumienia budzi się w duszach bezczynnych. Groźny pomruk rozlega się od strony dziś jeszcze zmuszonej wołać półgłosem Warszawy.
Do niej w krwi i bitewnej kurzawie od roku dążą Polskie Legiony, by z rąk stolicy przyjąć należny im za dzień szóstego sierpnia sztandar zwycięski i klucze jej serca.

LX

Element ryzyka.

Każdej najzwyklejszej czynności naszej towarzyszy element ryzyka.
Idąc najrówniejszą drogą możemy pośliznąć się na pestce od śliwki i złamać nogę, podczas jedzenia połykamy złośliwy zarazek, który nas przyprawia o ciężką chorobę, angażując kapitał w najpewniejszy pozornie interes, tracimy nieraz cały majątek.
A jednak chodzimy, jemy, robimy interesy i człowiek któryby z powodu tego ryzyka doświadczał ciągłego niepokoju, umarłby chyba ze strachu.
Doza ryzyka w powyższych przykładach jest coprawda bardzo niewielka i do stu procent absolutnej pewności brakuje drobnego ułamka.
W niektórych jednak wypadkach jak naprzykład karkołomnych wycieczkach w góry, polowaniu na grubego zwierza, ryzyko to do tego stopnia wzrasta, że jest wyraźnie odczuwalne, a jednak człowiek normalny w tym hazardzie znajduje szczególne zadowolenie, uważając pokonywanie nastręczających się niebezpieczeństw, za dowód odwagi, męstwa i siły charakteru.
Istotnie można powiedzieć, że miarą powyższych

zalet charakteru, jest stopień ryzyka do jakiego człowiek jest zdolny.
Jednym z najbardziej ryzykownych działań, jakie zdarza nam spotykać się w dziejach ludzkości jest wojna. Jest to równanie składające się z wielu niewiadomych, gdzie ~~wszystko jest~~ trudno jest wszystko z góry przewidzieć, gdzie duch moralny wojska, fałszywy meldunek, stan pogody może stanowić o przegranej lub wygranej bitwie, a szereg bitew o rezultatach całej kampanji.
Jesteśmy przekonani, że w najwyższych naradach, stanowiących o obecnej wojnie, nikt nie żądał gwarancyi zapewnień zwycięstwa; co najwyżej obliczano tylko szanse, a jedyną gwarancyą była gotowość całego narodu rzucić wszystkie rozporządzalne siły na niepewną szalę.
Pod względem wyniku wojny, nieraz rezultat jej zaprzecza powszechnej opinji świata. W wojnie francusko pruskiej 1871 roku wszyscy byli pewni, że Francya zwycięży, w wojnie japońskiej zdawało się, że Rosya zmiażdży małych wyspiarzy, w wojnie obecnej, w której siły liczebne koalicyi przewyższają wielokrotnie siły państw sprzymierzonych wynik dotychczasowej kampanji zapowiada zwycięstwo

ostatnich

Qui ne risque rien n'a rien. Maksyma ta znajduje szerokie zastosowanie w potocznym życiu.

Polska jest siłą faktów wciągnięta w wir walki, a jednak ilekroć wzywa się ludzi do zajęcia jakiegoś określonego stanowiska wobec rozgrywających się na naszym terenie i rozstrzygających nasze losy wypadków, zdarza się spotykać z odpowiedzią, że jeszcze nie czas, bo absolutnej pewności, kto zwycięży jeszcze niema.

Żąda się ustawicznie gwarancyi, zapominając o tem, że wielka jej doza leży w sile naszej własnej, którą podczas wojny zdołamy ujawnić. Sto procent absolutnej pewności wyszukamy po wojnie t.j. po zawarciu pokoju po definitywnym rozstrzygnięciu wszystkich jej zagadnień, a więc i naszej sprawy, ale wtedy okażemy się w roli ludzi spóźnionych.

Gdzie byliście mogą spytać nas, kiedy cały świat gorzał kiedy ryzykowali wszyscy, mający więcej do stracenia niż my.

Powołamy się na zniszczony kraj, na spalone wsie. Ależ to nie były dobrowolne ofiary, przypominające spalenie Moskwy; to były smutne konieczności wojny. Pokażemy długą listę uchodźców i ich mogiły? Ale mo-

giły te nie są grobami mężnie w boju poległych lecz tylko cmentarzem w jasyr pędzonych niewolników.

Istnieją coprawda groby bohaterskie, na które my spoglądamy z nadzieją i ufnością, widząc w nich gwarancyę lepszego jutra, ale tak zwani rozsądni, zachowują się wobec tych ofiar z chłodną rezerwą, z pewną niechęcią, być może z niespokojnego sumienia.

Ludziom, którzy ryzykują ciągle na każdym kroku, a obawiają się zaryzykować w sprawie najważniejszej odzyskania ojczyzny musimy powiedzieć, że biernością nie zdobywa się nic.

Umieliśmy kiedyś podpisywać nasze manifesty krwią, dziś cofa się trwożna ręką przed każdym śmielszym słowem rezolucyi, by ją podpisać atramentem.

Rola tragiczna chwiejnego niezdecydowanego Hamleta jest jak najmniej dla nas w dzisiejszych czasach wskazaną. Pomnijmy na końcu tego dramatu: nieszczęsnego niezdecydowanego królewicza podnoszą na kopjach rycerze, ale jako trupa.

Władzę nad Danją obejmuje dzielny człowiek ryzyka wojny, wracający z pola bitwy Fortymbras.